

Antonina Domańska

KRZYŻ W
PROBOŁOWICACH



1926



Antonina Domańska

**KRZYŻ W
PROBOŁOWICACH**



1926

Druk Trybuny Polskiej, Erie, Pa.

— Niech będzie pochwalony....

— Któż tam?.... O retyści, to wy, Marcinie? Skądże Pan Bóg prowadzi?

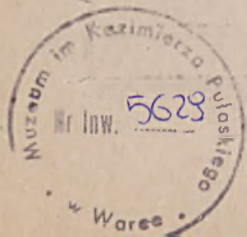
— A skądby dziad wędrował? Z odpustu, ma się wiedzieć.

— Ale też was dawno w Polance nie było; chyba ze trzy miesiące. Dzieciom się cni przez was. Hanka, Basia, Wojtek! Pójdźcież się przywitać, dziaduś przyszedł!

— Witanie swoim porządkiem, a głód swoim. Dy mię Błażkowa poczęstujcie miłosiernem sercem, bo mię aż cosi skręca na wnątrzu. Jakem we Wilczodołach u wójta pośniadał jeszcze o świtaniu, tak się też wlokę do zachodu słońca.

— O moiściewy.... siadajcie za stołem, siadajcie; duchem zgrzeję kapusty z obiadu. A może wam taka strawa nie lubuje? Ino się mignie, przystroję zacierki na mleku, dobrze?

— Ij.... dajcie kapusty. Jeszczem ci ja nie zeszedł na dziecińskie jadlo; człek nie taki znowu stary, dopiero mi się na siedemdziesiąty ósmy obróciło. Śmieście się zdrowa, choć niema z cze-



go. A chleba też nie pożądajcie ku onej kapuście; w Bogu nadzieja, że i o kielbasę łyżką zawadzę, he?

— Niechże was głowa nie boli; znajdzie się i kielbasa, i wędzonka, i miodek na gardła popłukanie.

— Panie Boże święty zapłać. Zawczasu dziękuję, cobym rychlej posmakował.

— No, no, pierwej nie podam, aż się zgrzeje. Nic tam po nagłości, gdzie trza cierpliwości.

— Ha, wasza wola, a moje słuchanie. Cichoście kiszki, gospodyni kazuje milczeć.

Zdjął Marcin torbę z pleców i rzucił pod ławę; żółte pomarszczone ręce złożył do pacierza i szeptał zdrowaśki jedną za drugą, paciorki różańca w palcach przesuwając. Siwe, bujne włosy, przy cięte równo z brwiami, zakrywały mu czoło; zapadłe na bezzębnych szczękach usta dzieliły wąską linią nos od brody; jedno oko na wielki zamknięte, nadawało połowie twarzy wyraz martwego spokoju, podczas gdy drugie o ciemnej, bystrej źrenicy biegało żwawo po izbie, śledząc poruszenia Błażejowej.

Dorzuciła dwie duże szczapy na komin, przystępnęła gar z kapustą do ognia, zdjęła z półki napoczęty bochen razowego chleba i ukroiła zeń kromkę na piędź grubą. Zajrzała potem do ko-

mory i wróciła natychmiast z wiankiem wędzonej kielbasy.

— Lepiej wkrajać do kapusty, będzie smaczniejsza — rzekła — chyba, że wolicie na zimno.

— Połowinkę dajcie na gorąco, a tę reszteczkę wraź do torby — odpowiedział stary, oblizując się pożądliwie.

— Aha, juści; a swoim to nic nie zostawię? — rozśmiała się Błażejowa.

— Ino przez cygaństwa, moiściewy! — zawołał dziad, strojąc zgorszoną minę. — A dybym nosa nie miał, gdybym nie poznał, że prosto z wędzarni wyjęta.

— No, to co?

— No, to każdy rozumie, żeście w ten tydzień wieprzka bili. Roczemu dziecku gadajcie, że ino tę jedną kielbasę macie. Wisi ich tam w kominie z osiem wianków, jeżeli nie więcej.

— Baj, baju...—usiłowała przeczyć gospodyni.

— Kiedy nieprawda, to wam już te pół wianka ostawię, a co se mizerny chudziaczek najdę we wędzarni, to będzie moje; zgoda?

Błażejowa ruszyła ramionami.

— Oj, dobrze powiada przypowiadka: "Ucho se nogą chyci, kto dziada nasyci". Niechże już będzie wasze na wierzchu. Macie, schowajcie do torby.

— Cosikiem o wędzonce i o miodzie słyshał....

— Idźcie do grzycha.... pół łokcia boczku wkrajałam rano do kapusty, już ani krzty nie doczynię. A za natrętność i unudzenie musi być kara; miodu nie dostaniecie.

— Rany.... Błażkowa.... dziadusia biednego, ciemnego, stareńkiego.... nie żal wam?

— Ehę, razeście młody, raz stary, jak wam dogodniej — odparła drwiąco. — No, dam wam jedną lampkę, co byście wiedzieli, że jest dobra właśnie jako ten miód; ale ani kropki więcej.

— Widzi Pan Jezus, żeście sprawiedliwa, niczem nieoberznięty dukat — pochlebiał Marcin, mrugając okiem. — A przecie i sprawiedliwy siedem razy upada; wyraźnie gadał ojciec Urban kiejsi na kazaniu. Toli za zdrowie trojga dzieciak waszych trzy lampki miodu mi się patrzą, nie jedna.

— Ktoby się z wami dogadał, dziadu przejęty! — rozśmiała się gospodyni.

Ubrała bigosu z garnka na glinianą misę, naląła miodu z gąsiorą w półkwarcie i postawiła przed nim na stole. Sama usiadła naprzeciw i opowiadała przeróżne smutne i wesołe wypadki, jakie się przydarzyły w Polance, od czasu jego ostatniej bytności.

Stary jadł a słuhał, słuhał a jadł, ani słowem

nie przerywając, póki nie wyskrobał miski do ostatniego ździebelka. Chlebem zakąsił, miodem zapił i odsapnął błogo.

— Dajże mi, Królowo anielska, sto lat życia, abym święte miejsca raz kole razu nawiedzał i do was, Błażkowa, jak najczęściej zachodził. Ani sam cesarz we Wiedniu takiej kapusty nie jadał. No, a cóż z dzieckami słyshać? Wołaliście na nie, a żadnego nie widzę.

— Bo im nie pilno do chałupy; Wojtek na śliwie siedzi, damaszkii obiera, a dziewczuchy mu pomagają.

— Nagotujcież centurji z garniec; przyda się na jutro. Oho, o wilkach mowa, a wilki tuż!

Za oknami rozległ się piskliwy śmiech dziewcząt a gruby głos Wojtka:

— Matusiu, trzy pełne wory z dzisiejszego rwania, a jeszcze dwa razy tyle na drzewach. Wyniosę do stodoły na boisko, pojedą tatuś pojutrze na jarmark, to zabiorą.

— A gołych pestek w trawie będzie z korzec? — zapytał Marcin, wychylając się oknem.

— O laboga.... dziaduś, dziaduś kochany!

Dziewuchy wpadły do izby. Piętnastoletnia Hanka pocałowała staruszkę w rękę, a malutka Basia wskoczyła mu na kolana.

— Dalekoście bywali?

— A teraz gdzie idziecie?

— Przydarzyło wam się co strasznego?

— Umiecie jakie nowe bajki? — wołały naprzemiany.

— Przydarzyć, to się nic nie przydarzyło — odpowiedział Marcin. — Ale się człek różności po drodze nasłuchał, odpustów na świętych miejscach nabierał tysiące tysięcy lat, że niczem jaki starosta podarunki sypie duszyczkom zmarłych.

— A skąd wracacie?

— Prosto z Probołowic. Kościół tam stary, drewniany, wieża z czubatym daszkiem, krzyż na niej złocisty, a jakże; jeden dzwon niezmierny, rozgłośny, o dwie mile go słycać, drugi mniejszy. Organy sobie nowe sprawili, niczego nie brak. A we wielkim ołtarzu Pan Jezus łaskami słynący.

— Jakto? — spytała Hanka, splatając ręce. — Cuda się tam dzieją? Naprawdę?

Marcin pokiwał głową. Twarz jego popoliła, przed chwilą żartobliwie uśmiechnięta, spoważniała i wyszlachetniała.

— Cuda? I jakie jeszcze! Po dwóch stronach ołtarza ściany obwieszono srebrnymi sercami i inszemi wotami na podziękowanie za wysłuchane modlitwy. Ze wsiów i miast ciągną ślepi, głusi, chromi, spłakani, w kościele zawsze tłum-

no. Jedni przychodzą prosić o zdrowie, drudzy o pocieszenie w smutku, inni znowu o polepszenie losu, a Pan Jezus miłosierny rozdziela dary wedle Swej przenaświętszej woli.

— A czemuż wam oka nie wrócił? — spytał Wojtek, od chwili już przysłuchujący się z za okna opowiadaniu dziadka.

— Tysiąc się modli, a jeden łaskę otrzymuje. Widno nie umiałem prosić — odpowiedział stary pokornie. — A może z krzywdą dla mojej duszy byłoby takie uzdrowienie. Kto wie, możebym zhardział niezmiernie... zadzierałbym głowę nad inszych, że dla mnie grzesznego cuda się dzieją. Odzyskałbym oko, a szczęśliwość wieczną utracił. Tak jest najlepiej, jak boska Opatrzność człeku przeznacza. Choć ano mnie samego Pan Jezus nie wysłuchał, doznałem szczęścia wielkiego, com go wcale a wcale niewart. Widziałem cudowne objawienie, moc boską nade śmiercią.

— Opowiedzcie, mój dziadusiu, opowiedzcie! — prosiły dziewczęta.

Błazejowa przysunęła się bliżej, a Wojtek wszedł do izby i usiadł obok matki z półuśmieszkiem niedowierzania na ustach. Służył przecie trzy lata w wojsku, potem furmanił kupcom od wsi do wsi, w karcznicy na zgromadzeniach słuchał niejednego raz, jak żydki, po pańsku ubrane, rozpra-

wiały wgardliwie o katolickich zabobonach, to i zmańdżał setnie. Zgóry poglądał na starego żebraka i tylko czekał sposobności, by sobie z niego zażartować.

Ale dziaduś nie widział nic, czy udawał, że nie widzi. Poprawił się na ławie, odchrząknął i tak rozpoczął:

— Byłem właśnie na wotywie przed cudownym krzyżem; co ino ksiądz odszedł od ołtarza, jeszcze się nie rozebrał w zakrystji, gdy słyszę w kruchcie krzyk jakiś, okrutnie przenikający. Ludzie się obzierają, ten i ów poszedł zobaczyć, co takiego, aż tu leci bez kościół kobieta, z dzieckiem na ręku. Chustka jej z głowy spadła, ani gorseta na sobie nie ma, w koszuli a w spódnicy biegnie, widno jak stała w domu, tak się porwała. Dziecko, chłopak spory, może trzyletni, zwisa jej z rąk, niczem szmata; koszulka na nim wodą ocieka, włosiki przylepione do gębusi, mokrzuteńkie. Matka, jak powiadam, biegnie przez pamięci i krzyczy.... a nam, co na nią patrzymy, mród leci po kościach. Dopadła ołtarza, kładzie ono biedactwo na najwyższym stopniu, a sama buch krzyżem na kamienie. Poleżała tak ze dwa pacierze, znowu się zrywa i woła: “Patrzaj, Panie Jezu, co z mojego Jantosia zostało! Jednego mi dałeś.... ino tego jednego.... na kochanie! A przy-

szła śmierć i zabrała moje bogactwo! Ulituj się.... usłysz mnie.... ulituj się, Zbawicielu najmiłosierniejszy.... oddaj mi dziecko! Abo mnie zabierz ze świata!” Łzy jej z oczu lecą jak te grochy, włosy oburącz targa, a co spojrzy ku krzyżowi, to się znów kloni ku ziemi i głową bije o kamienie. Jęk jej z piersi płynie jednym ciągiem, niczem ten strumień, co duszę zabrał Jantosiowi. Kościelny idzie do niej, za ramiona ją dźwiga, co si jej perswaduje, niewiasta jeszcze mocniej lamenci. Taki głos bije po kościele, jakby ściany z nią razem płakały. Wyszedł i ksiądz proboszcz, pociesza, domawia, kazuje ofiarować strapienie Matce Bolesciwej, wreszcie pyta: “A co się to dziecku stało? Jakim sposobem utonął? Przemówcie do mnie, Jędrzejowa, lżej wam będzie.” “Co się stało? Wiem ja, co się stało?.... Miałam dziecko, a tera nie mam nic.... O Jezu, Jezu.... Tyś ojciec wszystkich ludzi, wysłuchaj mnie!” “Powiedźcie, gdzie utonął? Kiedy?” “W młynówce, w młynówce.... o rany.... o ja nieszczęśliwa! Maciuperne toto, a chybkie, a głupie; kto go wie, co tam robił. Bieliłam chałupę na jutrzejsze święto; przy robocie człek ino o jednym myśli, a tu trza mieć siedmiorakie oczy, uszy, strzec co najpilniejsze.... O rety.... Matko Boska.... nie strzegłam, nie troskałam się....” I znowu proboszcz się

pyta: "A dawno się to stało?" "Raniuśko, ino po-
śniadał, poszedł z izby. Myślę sobie: bawi się w
sadzie; i spokojnam. A tu trza było lecieć za
dzieckiem. Ze dwie godziny go nie było.... przy-
niósł młynarz ot takiego, jak go jegomość widzą.
Młynarz przechodził wedle rzeki, migło mu się
coś jasnego we wiklinie, schyla się, biała koszul-
ka, zaplątana między gałązki.... tuż pod brzegiem..
o Rany Przenajświętsze.... cała głowisia w mule
po szyjkę!.... Omył, oplukał, coby mi nie tak
straszno było patrzeć, i przyniósł.... podarunek na
Matkę Boską Zielną. Jezus! nie wytrzymam....
Śmierć sobie zrobię!"

Błażejowa płakała rzewnie, słuchając przera-
żającego opowiadania; dziewczęta wpatrywały się
w dziadka ogromnemi od strachu oczyma, Wojtek
zagryzał wargi, chmurny jakiś, czy także zasmu-
cony.

Marcin odpoczął chwilkę, spojrzął po słucha-
czach i prawił dalej:

— Padła ci na stopnie i przytuliła się do mart-
wego ciała. Nagle, jakby ją niewidzialna ręka
dźwignęła, zrywa się, staje, chyta dziecko bez pól
i kładzie na ołtarzu. "Tutaj, u Twoich świętych
stóp, jęczała będę póty, aż zbudzisz mego Jantosa!
Tolim ja tak samo biedna wdowa, jak i ta w
ewangelji.... O, Panie Jezu, rozkaż mu, niech

wstanie!" Bez wszystkie serca przeleciał boży
strach.... ze wszystkich ust wyrwał się jeden krzyk.
Umarte dziecko ruszyło główką, otwarło oczka....
Co ta insi wtedy uczynili, już ani wiem, bom się
rzucił na kolana i schyliłem się do ziemi; inom
sobie przez ustanku powtarzał: "O Jezu wszech-
mogący, nie godzien ja patrzeć na Twoje cuda!"

Milczenie zaległo izbę. Pierwsza Hanka je
przerwała.

— Jakże to, jakże, dziadusiu? Ożyło dziecko?
Ze wszystkim? Długo cucili? Pozdrowiało
rychło?

Staruszek uśmiechnął się i rękę położył na
głowie dziewczyny.

— Wiesz, Hanuś, ino ludzie umierzają litość
po kropelce; Pana Jezusa miłosierdzie to morze
przez granic.... Skorom się co nieco opamiętał i
oześmielił, patrząc, a tu ów Jantós krzepciutki,
śmiejący, na rękach u matki siedzi, za szyję oną
obląpił, a ta klęczy przed krzyżem, niczem jaka
święta z kamienia. Ani się modli, ani się rusza,
ani płacze; ino wstecz się cała przegięła, oczyma
twarzy Pana Jezusa sięga i patrzy, patrzy.... nie
słowami dziękuje, ino duszą....

Kazał ksiądz proboszcz zapalić wszystkie
świece przed ołtarzem, zawdziął na się złocistą
kapę wielkanocną, stanął sobie tuż podłe onej bło-

gosławionej matki i bardzo prześlicznie odśpiewał tę łacińską pieśń, co to się po polsku zaczyna: Ciebie Boże chwalimy. Ach, Matko niepokalana, odpuść mi, jeśli grzeszę, ale nazajutrz, w samo Wniebowzięcie, nie było ludziom tak świątecznie na sercu, jako w ów ten poranek. Tylem widział na własne oczy; a że tak było dokumentnie, mogę przysięgać w godzinę śmierci.

— Ach, moiściewy, moiściewy... żal serce ściska, że też człowiek przy tem nie był! — zawołała Błażejowa.

Wojtek ruszył ramionami.

— A gdyby ludzie zamiast ręce łamać i wzdychać, wzięli się byli ostro do dziecka i cucili, jak się patrzy, byłoby tak samo orzeźwiało. Dy codzień krzeszą dochtorzy topielców, przez nijakich cudów.

— Cichaj, synu, nie obrażaj Pana Boga — rzekła matka surowo. — Ludzka siła przeciw boskiej mocy to suche ździebełko trawy, a dęb stuletni. Na kolanach wielbić, łaski żebrać, dobre i złe jako od ojca przyjmować, to nasza służba.

— Ij... babskie gadanie...—mruknął chłopak, ale tak cicho, że tylko Hanka usyszała i spojrzała gniewnie na brata.

— Pewnikiem takie przydarzenia często się trafiają — zagadnęła dziadka gospodyni. — Nie

powiadali wam ludzie jeszcze o jakim cudownem wyleczeniu?

— Ani się w głowie pomieści, aniby w księdze wszystkiego nie spisał. Jedno wam jeszcze opowiem, com od jednego organisty słyszał. Straszne a prawdziwe.

— Oj dobrze, mój dziadusiu złocisty! — zapiszczala Basia, a Hanka szepnęła coś matce do ucha.

— Idź, przynieś — rzekła gospodyni.

Hanusia skoczyła do szafy i podała ów zacny gąsiorek z miodem, do którego się pierwaj dziadus tak przymawiał; Błażejowa nalała znów do pókwarcia.

— Wysycha wam w gardle, Marcinie; popijajcie sobie po kapce; staremu zdrowo.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać. Juścibym zełgał, gdybym przeczył, że miodek u mnie nad wszelakie specjały.

Łyknął z lubością, otarł siwe wąsy, pomedytował parę minut i zaczął nowe opowiadanie:

— To już nie za naszej pamięci się działo, ani za naszych ojców, ino dawno, dawno, jeszcze za polskich królów. Tak sobie miarkuję, że za Jana Sobieskiego chyba. Jakiś pan bogaty, dziedzic wielu wsi w pobliżu Probołowic, wybierał się na wojnę. Zamówił sute nabożeństwo przed onymże

Panem Jezusem, oddając się boskiej opiece. Ano, pojechał, i słuchy o nim zaginęły. Żona frasośliwa schnie z tęskności, modli się, jałmużny sypie; miesiące mijają, a onego jak niema tak niema. Jednego dnia nadzieją się niewiasta krzepi, nazajutrz chce egzekwie sprawić, o wdowim czepcu myśli. Aż tu raz na śnie dostała objawienie: głos jakiś przykazał jej wotum zawiesić u cudownego krzyża. Usłuchała w te pędy. A chcący Panu Jezusowi dokumentnie okazać, jako jej nad wszystko droższy żywot umiłowanego męża, pojechała do miasta, zawiozła do złotnika przeróżne pierścienie, klejnoty i złotości, jakie ino miała, i z tego wszystkiego kazała uczynić koronę.

— Bajju.... widzieliście ją? — spytała Hanka.

— Już jej dziś niema; rząd zabrał przed laty na jakiesi wojny. Ale powiadał organista, że czytał w lewentarzu, czyli w spisie wotów, jakie to były wspaniałości. Gruba na pół palca, misternie wyrobiona, a dyjamentów na niej, rubinów i innych pereł bezmała sto. Kazała pani wypisać swoje imię, jako i swego męża, no i zaniósła do kościoła. Proboszcz poświęcił pięknie, a że to ukrzyżowany Zbawiciel cierniową koronę ma na głowie, tedy ową złotą zawiesili powyżej, jak raz na tej blasze z napisem I. N. R. I. Ano dobrze. Nie minął miesiąc, powrócił pan do domu. Stra-

sznie był zmizerowany: kula mu bok przebiła, omal nie umarł, coś pół roku leżał w klasztorze u braci miłosiernych. Ledwo że mu się rana zaczęła goić, spadł jakiś mór ciężki na ono miasto, gdzie chorował, to się wie, że i na całą okoliczność. Tedy znosili zarażonych do szpitala od rana do nocy i od nocy do rana; ludzie padali niczem jakie muchy, a ledwo co dwudziesty pozdrowiał. Jako się miał ostać nieszczęsny człek w pośrodku tych kornających i trupów! Chwyciła go owa cholera czy tyfus, i pomarł.

— Gadaliście co tylko, że wrócił? — przerwała mu Błażejowa.

— A gadałem; i nie trza się wtrącać, a słuchać — odparł niecierpliwie Marcin. — Kiedy mówię pomarł, to pomarł. Ano, miał ci ta w klasztorze kamrata z wojny, co za braciszka do onych zakonników przystał i za łaskę sobie wypraszał, żeby wedle swojaków mógł czynić posługę. Tenci go po śmierci przeżegnał, ręce mu do pacierza złożył i prześcieradłem go nakrył. Najgorsza to miała być noc: znosili tych chorych przez nijakiego ustanku, i o niejednym umartym zapomniano. Leżeli se, pokotem w kruzganku, nie było czasu grzebać. Ale braciszka serce bolało i nad ranem skoczył zmówić jeszcze pacierz za swego pana. Wiedział, gdzie go szukać, bo go umyślnie

położył w kącie pod samem oknem. Jednakowoż dla pewności uchylił płachty, patrzy, a ten się na bok obrócił, twarz se do ręki przytulił i chrapi smacznie, aż radość. Już se ta sami pomyślcie, jak się pocziwy braciszek ucieszył. Choroba poszła precz, a polepszenie przylatowało akuratnie jak na skrzydłach. Obliczyli se potem państwo oboje, że od tego dnia pozdrowiał, co wotum zostało zawieszzone na krzyżu.

— Takiście stary, a prostych rzeczy nie wiecie — rzekł Wojtek wzgardliwie. — Toć przy cholercie albo inszej ciężkiej chorobie tak się nieraz życie w człowieku zatai, że całkowicie na umarłego wygląda; potem się przebudzi i wszystko dobrze.

— A czy ja gadał, że źle? Umarł, albo się w nim życie zataiło, to dla mnie jedność. Zawdy cud boski, że na tyle tysięcy luda, co kupami do wspólnych dołów rzucano przez trumień, właśnie taki słabiuśki, ranami zniszczony, śmierci się wymigał. Co tu długo rozpowiadać, wrócił zdrow i koniec. Ale teraz dopiero zacznie się najpiękniejsze.

— Najpiękniejsze... — powtórzyła Basia, wytrzeszczając oczka.

— Słuchajcież. Sto lat albo i dwasta minęło od tego czasu, na świętą Trójcę przypadał odpust

w parafji.

— Jakże to może być? — zadziwiła się Błazejowa — największa świętość w bocznym ołtarzu?

— Strasznie tego nie lubię, jak mi kto ciągiem wpada w mowę — mruknął Marcin. — Któżby śmiał Trójcę świętą posponować! Samo przez siebie się rozumie, że we wielkim ołtarzu; a to w takim sposobie: wysoko ponad krzyżem umieszczona jest figura Boga Ojca w złocistej szacie, z promieniami nad głową, na podobieństwo trójkąta, jako się przedstawia zawsze Stwórcę świata. Zaś Duch Święty w postaci gołębiczka unosi się w pośrodku między Ojcem i Synem. Rozumiecie teraz?

— Juści, że rozumiem.

— No, to słuchajcie dalej. Do cudownego miejsca naród ciągnie i we zwyczajną niedzielę, a cóż dopiero, kiedy odpust. Więc kościół natłoczony, głowa wedle głowy, od samego rana. I księży się zjechało, jako zwyczaj. Chłopcy postawiali konfesjonały na świeżem powietrzu, do koła muru pod lipami; ludzie się cisną do spowiedzi, z kościoła słycać śpiewanie, msze święte wychodzą jedna za drugą. Potem wotywa, organy grają, potem suma z kazaniem, po sumie Święty Boże, Przed tak wielkim, no, jednym słowem od-

pust w porządku. Choć ta i z dalszych stron ludzi się poschodziło, jednakowo nikt nikomu nie obcy, sami swoi. Ten tego zna od dziecka, ten kumoter, ówten chrzestny ojciec; a tu stryjna, a tu wujek, a tu starosta z wesela, a tu družba; tu bratowa, tam ciotka, każdy rad, że się przy okazji z krewnym albo z przyjacielem zejdzie. Po nabożeństwie, jaki taki zajrzał do karczmy na szklanke piwa, a ku wieczorowi, ino się nieszpory skończyły, to w djabelskiej bożnicy taki sam ścisk niezmierny, jak pierwej w boskim domu. Ino że w kościele święte śpiewanie, a w karczmissku grzeszne mowy i pijackie hałasy. Gdzieżby pokusa piekielna dała kiedy spokój człowiekowi! Ani jej modlitwa nie odstraszy.. Oj ta wódka, ta wódka.... Jeszcze se jeden z drugim perswaduje, coby to za odpust był, kiejby się człek nie poweselił z kumoszka i z kumotrem przy kubeczku. A przyjdzie wracać do domu.... aleluja. Ot, pomyliłem se z tego jankoru, a co inszego chciałem gadać.

Siedział ta kumora u gospodarza na Werbowni szewc jeden; biedne chłopiątko, chuderlawe, zagłodzone, bo to żona, dzieci, a robota niezawdy dopisze. Przywłókł się i on za inszymi na ten odpust. W kościele pięknie godzinki z pamięci śpiewał, na klęczkach kole ołtarza obszedł, a co Zdrowaś na różańcu odmówi, to se wzdychnie nad

swoją niedolą. Djabłu nie w smak to modlenie. Tyle dusz nagnał do karczmy, tyle grzechów zapisał we swoim cyrografie, a ta nędzota miałaby być mocniejsza od niego?

W kościele cisza, ani żywego ducha, mrok zapada, a chłop klęczy i klęczy, jak przymurowany. Płomyczek w srebrnej lampie słabiuško migocze; bies przeklętnik podmuchał przeciągle, ogienek rozjarzył się w dziesięcioro, rzuca takie blaski, aż strach. Szewc przerwał różaniec, patrzy, co za jasności, dziwuje się, spojrzął w górę.... jakiesi iskry zielone, niebieskie, czerwone.... A to wiecie światło lampy odbijało się w drogich kamieniach Pana Jezusowej korony. Tak mu cosi trzyma oczy na tych migotach, że ani oderwać. Prawie cały dzień się przemodlił, na koronę nie patrzył, teraz dopiero ją widzi. Nie dziwota, djabeł insze miał zajęcie; aż skoro się z pijakami załatwił, zachciało mu się uczciwej duszy posmakować. Stoi se niewidzialny tuż za nim i pokusy mu w ucho kładzie, a biedakowi się pewno zdaje, że to on sam tak myśli. Podsuwa się ku ołtarzowi coraz bliżej, coraz bliżej, a one dyjamenty wręcz ogniami w niego biją.

— Ach, cóż za gwiazdy jarzące.... Jakie to musi być drogie.... — szepce djabeł. — A może to ino świecidła, szkiełka? Ach, co też ja wyga-

duję.... któżby śmiał oszukaństwo Panu Jezusowi ochwiarować! Straszne tysiące musiała kosztować taka korona, ani wątpienia.... Jeden albo dwa kamyczki, toby człek miał spokój na całe życie z żoną i z dziećmi.” Tak go ten czarny omamił, że sam nie wie co gęba wypłata. Krok za krokiem ku ołtarzowi się plezie, właśnie jak ta ryba, co haczyk połknęła i za wędką płynie, kędy ją rybak ciągnie. Nagłe se przypomina, że widział drabinę w komórce za ołtarzem, gdy zrana chodził na kolanach dokoła krzyża. Moznaby ostrożniutko przystawić, napatrzyłbym się choć raz do sytości. Biegnie do komórki, a tu rryyp, otwiera się zakrystja i wychodzi kościelny, pobrząkując kluczami. Chciał iść za nim, jakaś moc nieprzełamana zastąpiła mu drogę, przypadł do drzwi i czekał.

Wielkie drzwi kościelne stuknęły ciężko, zagrzypiał klucz w zamku, ttraf, ttraf, na dwa spusty, cicho.

“Ano, zamkli mnie”, myśli szewc; “przesiedzę do rana, nic wielkiego; mam pięteczkę chleba za pazuchą, to powieczeram i prześpię się gdzie w kącie. Teraz mi nikt nie przeszkodzi, obejrzę se tę cudną koronę.” Przystawił drabinę, wylazł po szczeblach, aż do podstawy krzyża, jeszcze za nisko; i z tylnej strony nic uwidzieć nie można. Podsuwa się ku przodowi, jak raz ten domek, gdzie

Najświętszy Sakrament schowany. “Stanąć lekuško”, powiada mu djabeł, “nie załamie się, mocne, dębowe. Ręką chwycić za ramię krzyża, korona tuż.” Dźwiga się na ono cyborjum, febra go zatrzęsała.... “Co?... nogą mam deptać po takich świętościach?...” jękło mu w głębi serca. Ij.... dy to ino drewniane pudło.... Pana Boga nie obrażę; chwileczkę pooglądam te drogości i zejdem wnet”. Coraz go zaślepienie ogarnia nie słucha głosu anioła stróża, djabła se wziął za patrona, idzie. Przystanął na daszku, lewą ręką czepił się krzyża, prawą podnosi w górę ku koronie. “Jakby tak jednego diamentu zabrakło.... nikt nie będzie liczył.... mam dłutko w kieszeni, ino podważyć i stało się.... Pójdę gdzie do dalekiego miasta i sprzedam.... powiem, zem znalazł.”

Korona taśmą przywiązana, zdjąć łatwo; tyle wieki wisi, nikt jej nie ruszał; któżby śmiał.... A onemu serce wali, nogi się trzęsą, ręce zimne jak lód.... Zdjął koronę.

Z przebitej krwawej dłoni miłosiernego Zbawiciela wysuwa się gruby gwóźdź i spada z okropnym łoskotem na kamienną posadzkę.... Drewniana ręka przygina się leciuchno, jakby u żywego człowieka, dwa palce dotknęły głowy złodzieja....

— O Panno święta Kalwaryjska! — woła Błażejowa, załamując ręce.

— Jezus.... dziadusiu, co dalej? — szepce Hanka struchlała.

— Nazajutrz, skoro świt, sygnują na prymarję. Zeszedł kościelny z dzwonnicy, zaspany jeszcze, nie patrzy przed siebie, ino oczy przeziera, a ziewa. Wziął świecidło ze stoczkim, zapalił, wyciąga rękę ku świecom na wielkim ołtarzu.... jak nie wrzaśnie.... palący drządek rzucił o ziemię, za głowę się porwał i biegnie, ucieka.... a krzyczy, jakby go ze skóry odzierano.

Wpada na plebanję, ksiądz się zbudził, służba się zleciała, każdy pyta, co za wrzaski, co się stało, a ten nic, ino: "Rety, rety.... o rany boskie!" Kto się z nim dogada. Gruchnęła wieść do piekarni, na podwórze, do stajni: kościelny zwarjował! Ksiądz proboszcz niewiele myślący, wina szklankę pełniusko nalał, tupnął na chłopca ostro: "Zaraz mi wypij!" Wypił, porzetelniał nieco, już nie wrzeszczy, ino się trzęsie i zębami dzwoni. "Co się stało?" pyta ksiądz znowu. Ledwie że zdolił wybełkotać: "Pan Jezus...." I ciągnie księdza za sutannę. Nie było sposobu, dał się proboszcz prowadzić. Służba w te pędy za nimi. Z jednej, drugiej chaty wyrzała gospodyni, dalejże i one do kompanji. Przechodził kto, uwiłdzał zbiegowisko, dziewczka niosła wodę, postawiła konewki, a biegnie. Od plebanji do kościoła sto kro-

ków; no to i sto ludzi wpadło do kruchty. Drzwi otwarte, idą dalej....

Stanęli wszyscy kamieniem.

Na daszku od cyborjum człowiek jakiś. Nie widać twarzy.... lewą ręką czepił się krzyża, w prawej trzyma złotą koronę.... Ręka Pana Jezusa zgięta w łokciu jak żywa, dwa palce na głowie złodzieja.

Ocknął się ksiądz, padł na kolana z płaczem wielkim. "O ludzie, ludzie.... cud boski widzicie!" A tu beze drzwi napływało coraz więcej narodu i rumor czynił się coraz głośniejszy. Wszyscy, z księdzem proboszczem na czele, smykają się na klęczkach ku ołtarzowi. A ów nieszczęśnik tam na górze stoi odrętwiały, napół umarty przed wszechmogącym Sędzią.

Ksiądz wznosi ręce do góry i modli się: "O Panie Jezu, Stwórco i Zbawicielu!.... Spotkała Twój majestat obraza niewysłowiona. Kajamy się w prochu przed Twem Najświętszem Obliczem.... Oto ślubuję Ci odprawić pokutne modły wraz z całą ludnością parafji na przebłaganie Twego sprawiedliwego gniewu. A złoczyńcę, którego złapaliśmy na świętokradztwie, odeślę natychmiast pod strażą do więzienia; wszyscy, ilu nas tu jest, świadczycy będziemy, co nasze oczy widziały. Z katowskiej ręki zginie, przysięgamy Ci!"

“Coby go ta do miasta odwozić!” wrzasnęli chłopci; “tu na miejscu zrobimy z nim koniec!” “Żywcem go spalić!” krzyczy jeden. “Porąbać na ćwierć!” krzyczy drugi. “Pasy drzeń!” “Oczy wyłupać!” “Niech z głodu zdycha!” wyją wszyscy. “Zejdź na ziemię, łotrze bezecny!” zawołał ksiądz srogim głosem. Ale tamten ani się ruszył, ani się odezwał. “Ja pójdę po niego, jeśli jego-ność pozwoli”, rzecze wójt. “Idźcie.” Wyszedł po drabinie, ale wnetki wrócił, bo nie zdołał dać rady. Przybrał se kościelnego; stanęli na postumencie, wzięli chłopca wpół, ruszyć nie mogą. Bierze jeden za bary, drugi za nogi, stoi jak przykuty. One dwa palce Pana Jezusa tak go trzymają.

Tedy ksiądz modli się znowu: “Panie nasz, Boże nasz, Ojczy nasz! Co mamy czynić? Przenacz sam karę na zbrodniarza; daj nam znak jakowy, abyśmy zrozumieli Twoją wolę przenajświętszą.... O Panie nasz....” Nagle urywa, coś mu gardło ścisnęło, ino se wzdychnął z najgłębszego serca.

Zgięta ręka Pana Jezusa wyprostowała się sztywno i wróciła na swoje miejsce, taka sama drewniana, jak była bez trzysta lat. Gwóźdź tkwi napowrót w środku dłoni, skąd się wziął, niewiadomo. Korona przytwierdzona u góry, jak wczoraj, jak zawdy. Mogliby ludzie myśleć, że się im

to wszystko przywidziało albo przyśniło, gdyby nie ów świętokradzca, potępiony przez nich, co stoi wciąż pod krzyżem, uwolniony miłosiernym boskim wyrokiem. Nieszczęsny człek ozbudza się z tego straszego zapamiętania.... schodzi powoli po gzymsie na postument, klęka i obejmuje krzyż rękoma. “O Jezu, Jezu....” jęczy żałośliwie; cosi szepce cichutko, płacze rzewnie, a drzewo u stóp Pańskich całuje.

Zlazł po drabinie na ziemię, idzie środkiem kościoła spokojnie; ludzie się rozstąpili.... Kto go śmie tknąć palcem, gdy mu sam Pan Bóg przebaczył! Pokłęknał przed proboszczem, w kolano go pocałował i wyszedł wielkimi drzwiami na drogę.

Już go nikt nigdy w Probołowicach nie widział. Ponoś wywędrował z żoną i dzieckami do Ameryki. Dopiero w parę lat później zajechał raz do proboszcza misjonarz jeden z za morza; kilka dni siedział na plebanji, przed miłosiernym Panem Jezusem nabożeństwo odprawiał. Rozmawiali se oba z księdzem o różnych cudach, pokazało się, że znał owego szewca tam w Ameryce, i on mu całe przydarzenie dokumentnie rozpowiedział. W jakiej to nędzy żył z dziećmi, a nigdy przeciwko boskiej woli nie szemrał. Ażci pokusa djabelska przywiodła go do zbrodni. A Pan Jezus,

co nawskroś przeziara dusze ludzkie, dał mu śmiertelnego grzechu odpuszczenie. Organista probołowicki słuchał pilnie z drugiej izby tej opowiadki, a od organisty znowu ja się wszystkiego dowiedziałem.

— Ot, dziaduś kleci, kleci bajki dla grzecznych dzieci — zaśmiał się Wojtek i wstał z ławy. — Toli kapki oleju w głowieby nie miał, toby temu wierzył. Koszałki opałki i tyła.

— Wojtuś... upamiętaj się! prosiła matka. — Ady pięćdziesiąt mil wokoło wiedzą ludzie o cudownym krzyżu w Probołowicach.

— Ja wam tak samo rzekę — upamiętajcie się. Drewniana ręka, co ją bylejaki szturmak z klocka wyrzeżał, będzie się gięła i prostowała? A pokażcie mi takiego siłacza, coby dwoma palcami przemógł dwóch zdrowych mocnych ludzi. Echę? śmiechu warte!

— Nie drewniana ręka cuda robi — odparł stary żebrak — nie drewniane palce siłę mają; to wiadoma rzecz. Ino Pan Jezus miłosierdziem swoim i wszechmocnością łaski ludziom świadczy. Większy cud chromego uzdrowić, umartego wskresić, niżli rozkazać drewnu, coby się zgięło. My, głupie, marne stworzenia, przeznaczali będziemy naszemu Panu, co Mu wolno, a czego nie zdoła? Ino powie: Ja tak chcę! a wszystko się stanie.

Zmów pacierz, coby ci było przebaczone.

— Od klepania pacierzy są dziady — rzekł parobek, ruszając ramionami. — Ani się modlił nie będę, ani przebaczenia niczyjzego nie potrzebuję.

Matka położyła mu rękę na ustach.

— Milcz! Ani słowa!

Krzyknął nieludzkim głosem i zwałił się na ziemię jak kłoda.

Skoczyli wszyscy ratować zemdlonego. Cucią, nacierają, zimną wodą w twarz przyskają... leży siny, oczy w słupy, zęby tak strasznie zaciśnięte, aż zaszyły jedne za drugie.

Minął kwadrans, długi jak godzina; chłopak westchnął ciężko, spojrział błędnym wzrokiem, jak człowiek, co się budzi ze snu twardego.

Matka i Hanusia dźwignęły go z ziemi i doprowadziły do ławy.

Usiadł i oparł się o ścianę.

— Zawraca ci się w głowie? Zabolało cię w sobie, żeś tak naraz omdlał? A może ci herbaty uwarzyć? A możebyć wolał do łóżka? Zaraz pościelę. No, jakże? Powiedz, co chcesz? — zarzuca go matka pytaniami.

Potrząsnął głową i pocałował ją w rękę.

— Wolisz siedzieć z nami? Ady odpowiedz... przecież już oprzytomniał, czemu się nie odzywasz?

Potoczył wzrokiem po wszystkich, zasłonił twarz rękoma i rozplakał się.

— Wojtek.... mojes ty.... co ci się stało? Nie skrywaj, nie zasnucaj mnie upartością.... powiedz szczerze, co ci brakuje?

Palcem na ustach zrobił znak krzyża.

— Aha, za pokutę, żeś Pana Jezusa obraził, nie chcesz mówić? Słusznie, tak się godzi. Jutro pójdziemy oboje do spowiedzi, dobrze?

Jęknął tylko i znowu palcem krzyż na ustach naznaczył.

Marcin załamał rękę.

— O Jezu.... Błazejowa, nie rozumiecie? Wasz syn zaniemówił!

Zerwała się na równe nogi.

— Wojtek! Dziaduś nieprawdę gadają, co? Plecie im się nicpotem?.... Wymów ino jedno słowo! Jedno słówko! Nie możesz?.... Ani jednego słówka?.... Rany przenaświętsze.... Matko Boska.. mój syn jedyny!

Zatoczyła się jak pijana i upadła na klęczki przed obrazami za galeryjką na półce.

— O święci patronowie, wstawcie się.... Marjo Częstochowska, ratuj!.... Proś za onem grzesznem dzieckiem.... błagaj Pana Jezusa, niech mu przebaczy.... O rety.... ludzie.... co stoicie? Ady módlcie się razem ze mną!

Marcin pochylił się nad nią i szepnął:

— Do Probołowic dwadzieścia mil oblewanych; pielgrzymka długa i ciężka; alebym już ani moich starych nóg nie żałował.... poszedłbym z wami i z Wojtkiem. Onoć to prawda, że miłosierdzie boskie wszędy jednakie, w każdym kościele Pan Jezus mieszka. Ale grzech ciężki, kara sroga; należy pokornem sercem i utrudzeniem ciała wypłacić się zagniewanej Sprawiedliwości. Na tem świętem miejscu, gdzie łaski świadczy, może Pan Jezus przywróci mowę chłopakowi.

Przed szczerniałym od starości krucyfiksem klęczą matka i syn. Wszystkie świece w ołtarzu zapalone; nowe srebrne serce na czerwonej wstążce zawisło wśród tysiąca innych. Ksiądz odprawia mszę świętą. Pochylił się nad hostją i wymawia słowa konsekracji.

Wojtek rozkrzyżował rękę.... Oniemiałe usta zacisnęły się gorzko; z przepełnionego skrucuch serca płynie modlitwa żalosna....

— Jakżem ja śmiał.... jakżem ja śmiał Twojej wszechmocy uwłaczać! Sprawiedliwie mowę mi odebrałeś, Panie Jezu!.... Ulituj się.... odpuść.... uzdrów mnie, Zbawicielu miłosierny!

Ksiądz podnosi kielich.

Z rozwartych w błogim zachwycie oczu

chłopca spływają łzy; zdjęta pieczęć milczenia z
ust jego. Woła głośnie:

— Niech Ci będzie wieczna chwała i dzięk-
czynienie, o Jezu Chryste miłosierny!

KONIEC.

